

## **BIEGAM, WIĘC JESTEM**

**Rozmawia: Marek Tronina**

**BIEGANIE: Panie Profesorze, ilekroć czytałem o tym, że codziennie pokonuje Pan biegiem 12-kilometrową pętlę byłem przekonany, że to jakaś wyjątkowo malownicza leśna trasa. Tymczasem to jest zwykła polna droga, która – zwłaszcza zimą – w ogóle nie zachęca do biegania. Jestem rozczarowany.**

GRZEGORZ W. KOŁODKO: Rzeczywiście, jeśli nastawił się Pan na leśną trasę, to może Pan się czuć zawiedziony. Ale zapewniam, że ja tę trasę bardzo lubię. I nie zgadzam się, że jest mało interesująca. Zwłaszcza wiosną i latem, kiedy wokół jest zielono, jest to bardzo miła wyprawa. 12 kilometrów i 150 metrów w tych warunkach codziennie sprawia mi przyjemność.

**I biega codziennie biega Pan tą samą trasą?**

W zasadzie tak. Chyba, że panują jakieś nieprawdopodobnie trudne warunki typu ulewny deszcz zamieniający polną drogę w gliniankę, to wtedy biegnę po prostu asfaltem. Ale to naprawdę musi być ekstremalna sytuacja.

**Panie Profesorze, o Pańskiej biegowej pasji wie niemal cała Polska, w końcu nie co dzień ma się do czynienia z wicepremierem i ministrem-maratończykiem. Ale pewnie mało kto wie, co było przed maratonami. Przecież nie zawsze Pan biegał?**

To zależy, jak głęboko chcemy sięgnąć pamięcią. Bezpośrednio przed rozdziałem biegowym można umiejscowić przygodę z pływaniem i siłownią. W gruncie rzeczy zaczęło się to w czasie, kiedy po raz pierwszy byłem w Rządzie RP (1994-97 – przyp. red.). Żeby nie dać się zmęczeniu psychicznemu i – co tu dużo mówić – fizycznemu, zacząłem regularnie chodzić na siłownię i na pływalnię. No i odkryłem wtedy, że podczas gdy moi koledzy z rządu czy z ministerstwa dosłownie padali, ja po godzinie pływania czy walki z ciężarami wracałem do formy. I okazało się, że aby się odprężyć i zregenerować, nie potrzebuję szklaneczki whisky.

**Ale to nie była jeszcze epoka biegania?**

Nie, ta zaczęła się później. Gdy skończyła się moja misja polityczna i praca w Rządzie, na przedwiośniu 1997 roku wyjechałem na kontrakt do ONZ-owskiego instytutu badań nad rozwojem w Helsinkach. Pobitem wtedy „rekord świata w organizacji własnego czasu”; w kilkanaście godzin po tym, jak przestałem być wicepremierem wykupiłem roczny karnet na siłownię w stolicy obcego państwa. Czyli – wzięło mnie. A biegać zacząłem nieco później, w końcu lata 1998 roku. W międzyczasie był jeszcze snowboard, którym zaraziłem się od swoich córek i na którym nauczyłem się jeździć trochę im na przekór, a na pewno po to, aby zadać kłam powiedzeniu, że jak się mały Jaś nie nauczy, to duży Jan nie będzie umiał. Uważam, że doprawdy na naukę nigdy nie jest za późno.

**I jak Jan – czy raczej Grzegorz – doszedł do wniosku, że bieganie to jest to?**

Stopniowo. Gdy po roku pobytu w Helsinkach – zwieńczonego napisaniem dla Oxford University Press książki o transformacji pt. „From Shock to Therapy” – wyjechałem do Waszyngtonu, do pracy w Banku Światowym, wciąż jeszcze numerem jeden była siłownia. Tam też wykupiłem karnet do „gym”, ale – o dziwo! – okazało się, że siłownie i w Banku Światowym, i w Międzynarodowym Funduszu Walutowym ...były nieczynne w weekendy! No i stało się tak, że miałem „wolne” soboty i niedziele. Zacząłem przeto biegać. Wtedy też przestałem się dziwić ludziom biegającym w samym środku miasta. Początkowo mieszkalem w samym centrum

Waszyngtonu, jakieś 300 metrów od Białego Domu, więc i tam biegałem. W ten sposób „pogodziłem się” z bieganiem po ulicach miast; i to ma swój urok. Gdy wyjeżdżam na wykłady czy konferencje, zwykle zatrzymuję się w hotelach znajdujących się w centrum miasta. No to i tam biegam... Tylko w tym roku w ten sposób biegiem pokonywałem już ulice Helsinek, Bukaresztu, Mediolanu, Amsterdamu, Moskwy, Pekinu, Madrytu, Dakaru, Harare, Maputo. Tylko w Warszawie jeszcze nigdy nie biegałem po mieście...

### **A w Los Angeles gdzie Pan biegał?**

Po najlepszej dzielnicy – Beverly Hills. Wykładałem na UCLA, a uniwersytet ten z jednej strony graniczy ze słynnym Sunset Boulevard. Jakimś zbiegiem okoliczności właśnie nań wychodzą okna Wydziału Ekonomii.

### **To może jest Pan kolejnym polskim ministrem finansów, który zna Jennifer Lopez?**

Nie, ja nie znam. A swoją drogą zastanawiam się, gdzie ludzie o takim statusie jak ona uprawiają sport? Bo przecież nie biegają po Beverly Hills. Tam zresztą jest pagórkowato. Pewnie zaszywiają się gdzieś w lesie albo trenują w domowym zaciszu. Bycie osobą publiczną to naprawdę trudna sprawa.

### **I potem już Pan biegał regularnie?**

Tak. Jak wspomniałem, od lata 1998, kiedy to zacząłem wykładać na Yale. Już nie wykupywałem karnetów ani do siłowni, ani na basen. Zacząłem uprawiać sport „za darmo”.

### **A skąd w Pana życiu wziął się maraton?**

Sam „przyszedł”. Biegałem regularnie, ale coraz dłużej. Wolę bieganie od na przykład tenisa – w którego kiedyś pogrywałem – bo bieganie to sport wyjątkowo indywidualny; nie trzeba się „socjalizować”; nie wymaga niczego poza samodyscypliną. Nie potrzeba wyszukanego sprzętu, sali, towarzystwa. Wystarczy chcieć. Jeśli zaś ktoś mówi, że nie ma czasu na to, by biegać, to daję temu odpór. Jeśli czas na codzienne bieganie znajduje amerykański prezydent, słowacki premier, polski wicepremier czy niemiecki minister, to każdy może go znaleźć. Rzecz sprowadza się do tego, aby tak sobie ustawić życie, by bieg był zarówno czasem relaksu, jak i pracy. Dla mnie czas biegu to czas, kiedy pozostaję w bardzo ciekawym „towarzystwie” – swoim własnym. Nigdy się w nim nie nudzę! Parając się pracą naukową z natury rzeczy zajmuję się głównie myśleniem – a to czytając, co inni mają do powiedzenia, a to samemu pisząc, a to słuchając innych, a to wygłaszając wykłady. Wtedy biegać się nie da. Ale jest ponadto wiele godzin każdego dnia, kiedy trzeba w spokoju – a to przecież najlepiej w samotności – przeanalizować wszystko to, co nas interesuje. Krótko mówiąc, dla mnie czas biegania to także czas rozmyślenia. A jak można nie mieć czasu na myślenie?! Ponadto biegając człowiek jest bez wątpienia bardziej wydajny, a więc i skuteczniejszy. Łatwiej się koncentruje, krócej śpi, mniej się denerwuje, dłużej pracuje. Po prostu staje się „lepszy” od innych, a przecież żyjemy w czasach potwornego nacisku konkurencyjnego. Można powiedzieć, że jestem, a więc biegam. Ale też iż skoro biegam, to jestem.

### **A w jakiej porze dnia biegał Pan kiedy był Pan wicepremierem?**

Regularnie, o piątej rano. Przez cały okres pracy w rządzie za drugim razem (2002-03 – przyp. red.) wstawałem o piątej rano i wbiegałem na swoją 12 kilometrową polną ścieżkę. W człowieku tkwi chyba jakiś atawizm, bo im jest mi trudniej biec – a to wichura, a to deszcz, a to błoto, a to zamieć – im wcześniej trzeba wstawać i więcej dać z siebie, tym bieg sprawia większą frajdę. Co do maratonu zaś, to pierwszy przebiegłem zanim zostałem po raz drugi ministrem. Biegałem już

zwyczajowo codziennie około godziny. Pewnego dnia Pani Elżbieta Jakubowska – dyrektor Domu Organizatora TNOiK, wydawcy kilku moich książek – powiedziała, że w jej rodzinnym Toruniu rozgrywany będzie maraton i że powinienem wystartować. Podjąłem wyzwanie. Zacząłem wydłużać dystans, pewnego razu biegłem około 2 godzin – czyli mniej więcej trasę półmaratonu – i spokojnie mógłbym biec dalej. Może nawet cały maraton? Tym bardziej, że maratony biegał mój przyjaciel mieszkający wówczas w Kalifornii, którego wcześniej – a już na pewno w czasach, gdy razem studiowaliśmy nikt by o to nie podejrzewał. Mnie zresztą też...

### **Miał Pan jakiegoś trenera, doradcę?**

Na wiosnę 2001 roku, w czasie pobytu w Spale, przypadkowo spotkałem ekipę Adama Małysza, jeszcze tą z czasów jego największych sukcesów. Prof. Żołądź, fizjolog, zaczął mnie wypytywać o różne progi mleczanowe i tlenowe, tętno i tym podobne rzeczy, o istnieniu których albo w ogóle nie wiedziałem, albo nie przejmowałem się nimi. Dał mi parę rad i powiedział, na jaki wynik powinienem się przygotować, wzięwszy pod uwagę, ile biegam. Wyliczył, że powinienem skończyć maraton w czasie między cztery i pół a pięć godzin. Było mi to obojętne, bo ja po prostu chciałem dobiec do mety. I dobiegłem. Z czasem lepszym niż oczekiwany, bo 4:09.07.

### **Ile maratonów ma Pan za sobą?**

Dokładnie 20. Przyjąłem zasadę, że biegam 4 maratony w roku, z czego jeden w Polsce oraz, że w danym maratonie startuję tylko raz w życiu, choćby nie wiem jak niezwykły był to bieg. Dlatego mam na koncie zarówno start w Nowym Jorku (2002), gdzie biegnie 35 tysięcy ludzi i gdzie na Manhattanie kibicują setki tysięcy, jak i noworoczny (2004) bieg w Redding w Północnej Kalifornii, gdzie startowało kilkadziesiąt osób i gdzie tak naprawdę poczułem, że wracam do natury, do korzeni – tylko ja, bezdroża, góry i wszechobecna dzika przyroda. Był to zresztą jedyny maraton, na którym dostałem nagrodę – puchar dla zawodnika, który przybył z największej oddali. Zasadę 4 startów w sezonie „złamałem” w roku 2004, kiedy z sześć maratonów. Żona powiedziała wtedy, całkiem zresztą słusznie, że to lekka przesada. Wyliczyłem, że w roku 2004 i 2005 w związku ze startami w 10 maratonach na pięciu kontynentach musiałem pokonać łącznie jakieś 75 tysięcy kilometrów. Trzy razy Ameryka, Barbados, Afryka, Nowa Zelandia, Norwegia, Włochy i dwa razy Polska.

### **Kosztowna pasja.**

Cóż, mam to szczęście, że dość często jestem zapraszany na wykłady w różne części świata. I jak już mam lecieć na drugą półkulę, to oczywiście sprawdzam najpierw, czy w pobliżu rozgrywany jest jakiś maraton i - o ile to możliwe – staram się dopasować termin wykładu do terminu biegu, skoro odwrotnie się nie da. Ale dzięki tym wyprawom docieram w takie miejsca i poznaję takich ludzi, których pewnie nie miałbym możliwości poznać nigdzie indziej. Zazwyczaj nie informuję o swoich startowych planach nikogo i o wszystkim mówię dopiero po biegu.

### **Co na to córki i żona?**

Są przyzwyczajone, nie tylko zresztą do tego. Przez ostatnie 9 lat wszystkie kolejne początki roku – czyli północ między 31 grudnia a 1 stycznia – spędzałem samotnie biegnąc. Wolę to niż uświęcone tradycją obściskiwanie się ze znajomymi i nieznanymi. Żona wie, że w każdej chwili może do mnie dołączyć - jeśli tylko będzie miała ochotę. Albo musi czekać trochę jeszcze po Nowym Roku. Dla córek moje zwyczaje nie są niczym niezwykłym. Tym bardziej, że one same uprawiają tak zwane “mocne” sporty – skoki spadochronowe, jeździectwo, kite surfing, snowboard, bungie i tym podobne. Starsza córka potrafi w piątek wsiąść ze znajomymi do samochodu, jechać przez 12

godzin, rano wsiąść w Austrii pod lodowcem, jeździć tam dwa dni i w niedzielę wieczorem ruszyć w drogę powrotną do kraju, aby zdążyć na zajęcia. Mnie to o tyle nie dziwi, że bardzo przypomina to moje czasy studenckie. Tyle że wtedy w piątek wieczorem wsiadało się w pociąg do Budapesztu albo Berlina, by tam spędzić weekend i w poniedziałek rano być z powrotem na dworcu w Warszawie, aby zdążyć prosto na zajęcia. No, z tą różnicą, że my jeździliśmy na wino albo na piwo, a nie na snowboard... Gdyby ktoś wtedy powiedział, że za n-lat będę biegał maratony, brzmiałoby to równie wiarygodnie jak przepowiednia o lataniu na Księżyc!

**Im dłużej rozmawiamy, tym bardziej wydaje mi się, że jest Pan osobą głodną życia, szukającą nowych wrażeń.**

Nie wiem, czy szukam. One są wokół, pełno ich. Ja się tylko od nich nie opędzam. Nie siedzę w domu przed telewizorem, tylko wychodzę. Albo – jak kto woli – wybiegam. Powiem tak – niczego z tego, co zrobiłem w życiu, nie żałuję. Dużo, a nawet bardzo dużo się w nim dzieje. I to jego sens. Ale sport zacząłem uprawiać na tyle późno, by mieć poczucie, że przede mną jest wiele rzeczy, których chciałbym jeszcze spróbować. I próbuję. Poza bieganiem moją drugą sportową pasją jest pływanie w morzu. No, o to trudniej; mam za płotem polną drogę, a do morza trochę dalej. No i z morzem nie ma żartów; zwłaszcza jeśli i nim pływa się samotnie. Kiedyś ten pociąg do pływania kilometrami na głębokiej wodzie niemal kosztował mnie życie. To było kilka lat temu u brzegów fascynującej Wyspy Wielkanocnej na południowym Pacyfiku. Płynąłem dość długo, nawet nie odwracając się w stronę brzegu i nagle – niepostrzeżenie – przechwycił mnie prąd morski. To straszne uczucie – próbowałem wracać, widziałem brzeg, pracowałem co sił rękami i nogami, by płynąć w jego kierunku, a jakaś niewidoczna siła z każdą chwilą odpychała mnie od niego. W pewnym momencie zacząłem robić rachunek sumienia i żegnać się z życiem. Wydawało się, że to już koniec, iż nigdy nie dotrę do lądu. Ale walcząc – i szczęśliwym przypadkiem – wypłynąłem ze strumienia prądu i udało mi się wrócić. Ale od tamtej pory jestem znacznie ostrożniejszy. Uwielbiam też nurkować w masce. Chyba zresztą dzięki temu zajęciu zostałem wegetarianinem. To było w roku 1999 – podczas podmorskiej wyprawy na Wielkiej Rafie Koralowej u wybrzeży Australii natrafiłem w wodzie na naprawdę sporą rybę – taką wielkości człowieka. Podpłynęła do mnie i zaczęła się do mnie łąsić – zupełnie jak mój pies albo kot. Po chwili po prostu bawiliśmy się wspólnie, zupełnie jakby to było domowe zwierzątko. Wypływając na powierzchnię pomyślałem: “I co, teraz pójdziesz do restauracji i zamówisz ją na kolację?” Mięsa nie jadłem już wcześniej, a od tamtej pory nie także ryb ani owoców morza; tylko warzywa i owoce. I sam już nie wiem, czy tak dobrze czuję się od biegania, czy od diety wegetariańskiej.

**Maratończyk, wegetarianin – co jeszcze? Doskonale Pan wie, że w Polsce niewiele trzeba, żeby zostać okrzykniętym mianem dziwaka.**

Cóż, tak bywa. Co jeszcze? Nie marnuję czasu na oglądanie telewizji i czytanie gazet. Z tygodników prenumeruję tylko „New Yorkera” i „The Economist”. Sięgam za to obficie do różnorodnych materiałów źródłowych, które sam potrafię zinterpretować. Dzięki temu wiem to, co wiedzieć powinienem i nie zaśmiecając sobie głowy medialnymi pseudo-komentarzami pseudo-analityków. W zdrowym ciele zdrowy duch. Jak powiedziałem po maratonie w Poznaniu jednemu z Pańskich kolegów po fachu: zamiast biegać za nami z mikrofonami sami wzięlibyście się w garść i też pobiegali naprawdę. Mniej wtedy złości, a więcej mądrości i wszyscy na tym lepiej wyjdziemy.

**Grzegorz W. Kołodko** (ur. 1949) - profesor zwyczajny doktor habilitowany, specjalista z zakresu ekonomii rozwoju i polityki gospodarczej. Dyrektor Centrum Badawczego TIGER ([www.tiger.edu.pl](http://www.tiger.edu.pl)) w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Kozłowskiego ([www.kozlowski.edu.pl](http://www.kozlowski.edu.pl)). W latach 1994-97 oraz 2002-03 – minister finansów i wicepremier rządu RP. Autor 35 książek naukowych, dziesiątków artykułów i rozpraw, ekspert i konsultant

międzynarodowych organizacji (MFW, Bank Światowy, ONZ, OECD). Podróżnik, zwiedził 120 krajów.

**Grzegorz W. Kołodko i jego maratony:**

Toruń (pierwszy maraton, 26 maja 2001), Toronto (3:38,22 – rekord życiowy), San Diego, Kraków, Helsinki, Nowy Jork, Los Angeles, Wiedeń, Arusha (Tanzania), Poznań, Redding (Kalifornia), Nowy Orlean, Rotorua (Nowa Zelandia), Tromso (Norwegia), Long Beach (Floryda), Barbados, Wrocław, Forssa (Finlandia), Mutare (Zimbabwe), Mediolan. Więcej informacji o pracy i życiu Profesora oraz fotoreportaże z maratonów – [www.kolodko.net](http://www.kolodko.net).